Jan Orlik

ZNALEZIONE DZIECKO

w gnieździe orlem pod Krakowem.

POWIASTKA

CHICAGO, ILL.
Drukiem i nakładem Wł. Dyniewicza.
1906.

JAN ORLIK

POWIASTKA

Jan Orlik

ZNALEZIONE DZIECKO

w gniaździe orlem pod Krakowem.

POWIASTKA

CHICAGO, ILL.
Drukiem i nakładem Wł. Dyniewicza.
1906.

Zaczynacie uczyć się geografii, wiecie zatem, że wysokie góry rozdzielają jeden kraj od drugiego, że na wierzchołkach wysokich gór leżą śniegi i lody, które nawet w lecie roztapiają się od promieni słońca. W naszym kraju jest góra zwaną Swiętokrzyską, od kościoła i klasztoru na niej zbudowanego, ale ona i szóstą część nie jest tak wysoką jak góry Alpy i Tatry w Europie, Himalaja w Azyi, Andy w Ameryce. Góry zwane Tatrami albo Karpatami odgraniczają Węgry od Galicyi, krainy należącej do Austryi, która dawniej była częścią Polski. Aż do podnóża tych gór, o kilka mil za Krakowem, mieszka lud polski, a ziemia po większej części należy do szlachty naszej. Granica węgierska idzie środkiem przez te góry, północna zatem część Karpatów także należy do Galicyi, a lasy i pastwiska na nich znajdujące się, należą do włościan i szlachty.

Poproście waszych rodziców albo nauczycieli, to wam pokażą na mapie owe Karpaty i miejsce, gdzie się zdarzył przypadek, o którym opowiadać będę.

W tych wysokich górach gnieżdżą się kozy dzikie, oraz drapieżne zwierzęta i

ptaki. Największym z takich ptaków jest orzeł zwany płowym. Robi on sobie gniazdo na niedostępnych i bardzo wysokich skałach, tuż prawie przy tych miejscach, gdzie już leżą odwieczne śniegi i lody, i gdzie stopa prawie dostąpić nie może.

Ten drapieżny ptak chwyta zające, króliki, duże ptactwo, a nawet młode baranki, i żywi się ich mięsem; orzeł płowy jest tak silny, że nawet dosyć spory ciężar może porwać we swe szpony i ulecieć z nim w powietrze. Ale już ich nie ma wiele w Tatrach, bo pasterze strzelają do nich i zabijają, żeby im owieczek nie porywały.

Tuż przy samej granicy węgierskiej, wśród gór niebotycznych, w cyrkule, a niegdyś w powiecie sandackim, niedaleko Kościeliska i Magierowej góry, jest obszerna posiadłość należąca do potomka jednego z dawnyah magnatów naszych. Skały pastwiska dla trzód i lasy, zajmują prawie całą ich przestrzeń; tu i owdzie pola zasiane owsem i zasadzone kartoflami, dostarczają szczupłego pożywienia nie licznym rodzinom pesterzy. Mieszkańcy wychodzą na całe lato na roboty do żyźniejszych okolic, o kilkadziesiąt mil od domu. Niejeden z was widział ich albo słyszał o nich. Są to owi górale, którzy najmują się do koszenia naszych łąk i zboża. Na jesień wracają do swoich zagród i tem żyją przez zimę, co sobie zarobili przez lato.

W lasach jest wielkie mnóstwo wysokich i grubych drzew do wszelkiego użytku przydatnych, ale ciężko jest sprowadzać je na dół, z gór przerzniętych wąwozami i spławiać. W tych miejscach, gdzie znaleziono rudę żelazną, tam mają znaczny dochód z drzewa, bo go używają do wytapiania żelaza.

Nadleśniczym, to jest zarządzcą i dozorcą obszernych lasów hrabiego M. był szlachcic rodem z Sandomierskiej ziemi, który odstąpiwszy bratu szczupłą i ubogą wioseczkę, dziedzictwo po ojcu, w nieżyznej góralskiej ziemi leżącą, wolał trzymać się klamki wielkiego dworu i przyjął obowiązek prywatny. Nazywał się Antoni Bonar i chlubił się, że ród swój wywodzi od owego Bonara, który za Zygmuntowskich czasów zarządzał kopalniami soli w Wieliczce i Bochni i był żupnikiem krakowskim. Wioseczka jego przodków, leżała przy granicy dóbr owego magnata, za odnogą gór tatrzańskich i zwała się Jadłówką; sam zaś mieszkał w Zaciszu, w osadzie leśnej należącej do dóbr hrabiego.

Antoni Bonar był to człowiek uczciwy, przestawał na niewielkiej płacy, oprócz której miał wyznaczony kawał ziemi i obszerne pastwisko w górach między lasami. Gospodarował pilnie; pomagali mu włościanie, pod jego zwierzchnictwem będący: a więc chociaż tam ziemia nie jest żyzna,

jednak poprawiwszy ją staraniem i przemysłem, miał lepsze urodzaje niż biedni prości górale. Plenipotent hrabiego przyjeżdżał raz do roku, obejrzał lasy, sprawdził rachunki, odebrał uzbierane pieniądze z czynszów, za sprzedane drzewo i wypalone węgle, a wszystko zastawszy w porządku, nie omieszkał dać dobrego świadectwa przed JWżnym hrabią o jego nadnadleśniczym.

W owym bowiem czasie, kiedy zaczyna się opowiadanie nasze, pan Antoni Bonar miał lat czterdzieści i kilka, od lat piętnastu zajmował swoją posadę i tyleż czasu już minęło, jak się był ożenił z dobrą i miłą panienką, córką ubogiego szlachcica z tych samych okolic. Żyli z sobą przykładnie i spokojnie, ale że człowiek na tym świecie nigdy nie może cieszyć się zupełnem szczęściem, tak też i Bonarowie mieli to jedno ciężkie zmartwienie, że im nie chowały się dziatki; przed kilkoma laty dwoje umarło na szkarlatynę a ostatni synek zsześcioletni, śliczne dziecię, stracili rok temu, na okropną i niebezpieczną chorobę, zwaną krupem. Jako pobożni chrześcianie, z pokorą znieśli tak ciężką stratę, powtarzając słowa patryarchy Joba: „Bóg dał, Bóg wziął: niech będzie błogosławione święte imię Jego.“ Ojciec zajęty doglądaniem lasów, cechowaniem drzewa i polowaniem, prędzej się rozerwał; ale

żona jego, a było jej na imię Anna, nie mogła uspokoić się w żalu i tęsknocie. Bonar miał był dwóch braci, najmłodszy Wincenty, jak to już wspomniałem, został przy ojcowskiej wiosce, starszy Józef, zaciągnął się do wojska jeszcze w 1809 r.; a od lat dziesięciu żadnej o nim wiadomości nie było.

Pan Wincenty Bonar miał czworo dobrych i ładnych dziatek, a osierociały stryjaszek bardzo je lubił i dosyć często odwiedzał.

Nad wieczorem w pierwszych dniach czerwce, kiedy wiosna już zawitała między góry Karpackie, wszedł wieśniak góralski z listem od posłańca. — Z dobrą wiadomością przychodzicie przyjacielu, i wyjąwszy z szafy flaszkę i kawał chleba, przydał: — Pokrzepcie się i posilcie. Zanocujcie u nas, a jutro po śniadaniu wyruszycie do domu. Powiecie memu bratu, że nie odpisuję, bo jutro przed południem przyjedziemy tam oboje. A może będziecie chcieli zabrać się na bryczkę, którą żona moja pojedzie; oszczędzicie sobie trudu i dopomożecie w niebezpiecznych miejscach.

W tej chwili nadeszła pani Bonarowa, a mąż rzekł do niej:

— Bóg obdarzył mojego brata piątem dziecięciem i zaprasza nas na chrzciny. Jutro bardzo rano wyjedziemy; urządźże się z gospodarstwem domowem.

Jadąc bryczką lub wozem, z Zacisza do Jodłówki, było blizko 2 mile drogi, bo objeżdżano wysoką górę; lecz wprost ścieszkami, któremi chodzą pasterze i strzelcy, można zajść w dobrą godzinę.

Pan Antoni nie lubił trząść się po głazach i korzeniach, wysłał więc żonę pod opieką owego posłańca, a sam zarzuciwszy strzelbę na plecy, poszedł prosto znajomami ścieżkami. Pomyślał przytem, że za jednym zachodem zwiedzi część boru i przekona się, czy tam nie ma szkody i czy porządnie rąbią drzewo, przeznaczone na sążnie do wypalania żelaza.

Szedł więc krętą i stromą ścieszką w wielu miejscach zawaloną kawałami dużych kamieni i obalonemi klocami. Ale mgła okrywała te dzikie miejsca, a leśniczy omijając zawady zbłądził. Przedzierał się jak mógł przez skały i drzewa coraz to wyżej, aż nareście gdy mgła rozproszyła się trochę, pomiarkował, że bardzo zboczył na lewo. Ale znał doskonale te miejsca, poszedł więc ścieżką niezmiernie wąską i przykrą, wiedział bowiem, że tamtędy dostanie się na wierzchołek jednej z licznych skał, a potem spuści na dół na drugą stronę i dojdzie do wioski swego brata. Gdy już stanął na szczycie, zobaczył prześliczny widok na dole, prosto prawie pod stopami swojemi. Doliny jodłowskie były pokryte bójnem zbożem, na drzewach peł-

no było owoców, bo góry zawsze osłaniały te miejsca od zimnych wiatrów.

Usiadłszy na kamieniu spoglądał przed siebie i upatrywał, którędy najłatwiej mu będzie znijść na dół. Pod nim przesuwały się małe chmurki, a nad jego głową ulatał ogromny płowy orzeł. Bonar spojrzał na ptaka, lecz nie chciał strzelić do niego, gdyż myślał sobie: po cóż go mam drażnić? jego gniazdo musi być w bliskości, a przyleciałaby orlica i oboje mogliby się rzucić na mnie. To mówiąc, postrzegł tuż przy sobie gniazdo orle, usłyszał krzyk małych orzełków, a przy gnieździe postrzegł coś podobnego do ludzkiej postaci.

— Cóż to jest? — zawołał, czyliż mię oczy zwodzą? A w tem ozwał się płacz dziecka i zobaczył maleńkiego chłopczyka, mającego około półtrzecia roku. Sukienka była na nim poszarpana, on sam miał pokaleczone ręce i nogi; leżał biedaczek i płakał.

Bonar zdumiony nie mógł pojąć co to znaczy, lecz natychmiast zastanowił się i poznał, że biedne dziecko porwane było przez drapieżnego orła i zaniesione do gniazda na żer samicy i orlętom. Nie tracąc ani chwili, zdjął fuzyę z ramion, przywiązał dziecię pasem włóczkowym, i strzelił do nadlatującego orła, który przestraszony wystrzałem a może i zraniony odleciał na bok, a zdawszy się na wolą

Boską, puścił się na dół po spadzistej ścieżce, aby czemprędzej dostać się w gęstwinę, która go od drapieżnych ptaków zasłoni. Bóg zrządził, że szczęśliwie zestąpił na dolinę i doszedł do Jodłowa, gdzie już od godziny przyjechała jego żona i wszyscy z niecierpliwością i obawą czekali na niego. Zdumieli się zobaczywszy to biedne i pokaleczone dziecię. Dzięki Opatrzności nie było przetrącone i nie miało niebezpiecznej rany. Opatrzyła go pani Bonarowa, dała mu trochę ciepłego mleka, a osłabione i zmordowane dziecię usnęło.

Dwaj bracia zostawili je pod opieką starej i rozsądnej służącej, która doglądała chorej pani Wincentowej, a wziąwszy nowonarodzone dziecię i piastunkę, pojechali do kościoła parafialnego, żebyje ochrzcić. Stryj i stryjenka byli rodzicami chrzestnemi dziewczynki, której dano imię Teofili czyli Bogumiły, bo to święto właśnie na ten dzień przypadało w kalendarzu imion słowiańskich.

Za powrotem zastali chłopczyka już trochę rzeźwiejszego i byli pewni, że żyć będzie. Nie umiał dobrze mówić, i tyle tylko dowiedzieli się od niego, że się nazywa Jaś, że matka jego żyje, bo ciągle wołał na nią. Poszarpana sukienka, była dowodem, że orzeł porwałt o dziecko i zaniósł je na pastwę dla swoich dzieci; tylko niespodziane przybycie Bonara urato-

wało je od śmierci. Miało na sobie krzyżyk hebanowy wysadzany złotem, na którym wyryte były początkowe litery, zapewne nazwiska jego rodziców. Ten krzyżyk, jako pamiątkę po nieznanych rodzicach, nosiło to dziecię dniem i nocą; wyrosłszy na chłopczyka nigdy go nie zdejmowało, a państwo Bonarowie troskliwie, pilnowali żeby go nie zgubiło. Potem też zawsze Jaś go miał na sobie i uważał za ochronę od wszelkej złej przygody.

Leśniczowie nazajutrz powrócili do Zacisza i wzięli z sobą cudownie uratowanego chłopczyka.

Przez parę tygodni Bonar wypytywał się i na węgierskej stronie Tatrów, czy komu nagle i niewiadomym sposobem nie zginął chłopczyk mający półtrzecia roku, ale nikt nie zgłosił się po niego. Powiadali tylko dwaj górale, że widzieli jadącą krytą brykę, a w niej panią jakąś w żałobie z małem dziecięciem; lecz zkąd jechała, dokąd i co się z nią stało, o tem nie umieli powiedzieć.

Tymczasem nadleśniczowa coraz bardziej przywiązywała się do chłopczyka, który był piękny, roztropny i grzeczny. Z jego nadzwyczajnej przygody to mu tylko pozostało, że lękał się każdego większego ptaka, nawet koguta, a cóż dopiero indyka, albo gęsi, i skoro je tylko zobaczył, natychmiast uciekał. I tak było, do-

póki nie skończył lat dziesięciu; wtenczas dopiero pomyślał sobie, że żaden ptak domowy, a choćby nawet sęp i orzeł, już go nie porwie tak dużego chłopaka.

Państwo Bonarowie przysposobili młodego Jasia za syna swojego i przezwali go Orlickim, na pamiątkę jego porwania. Górale nazwali go Orlikiem i ta mu nazwa między nimi pozostała. Wincenty Bonar i jego żona, ludzie zacni i bogobojni, nie pozazdrościli Jasiowi, że otrzyma spuściznę jaka tam po ich bracie pozostanie i owszem kochali Jasia, a on często bywał w Jodłówce i od dziecińśtwa bawił się z ich najmłodszą córką Bogumiłą.

Jakaż to piękna kraina ciągnie się u podnóżą gór Karpackich i między niemi! Wy kochane dziatki nic nie widziałyście w Warszawie prócz ogrodu Saskiego, Botanicznego i Łazienek, a na wsiach równe pola i gdzie niegdzieogródek. Niepodobna przeto opisać wam tych gór spadzistych porosłych lasami; tych wąwozów, które za każdym deszczem zamieniają się w strumienie; tych ogromnych głazów, które oderwały się ze szczytu gór; tych górali śmiałych, wysokiego wzrostu, gościnnych dla podróżnego, który do ich chaty zawita i o nocleg w imię Boże poprosi.

Jaś Orlik miał już rok dziesiąty i w domu od swego opiekuna nauczył się czytać, pisać i rachować, kiedy hrabia M.

przyjechał dla zwiedzenia tej części swego majątku. Dowiedziawszy się o dziwnem uratowaniu tego chłopczyka, przeznaczył dla niego fundusz, najprzód na szkoły w Krakowie, a potem na Akademię. Tak więc Jaś Orlik rozstał się z dobroczyńcami swymi, którym bardzo było smutno po jego odjeździe. Co rok na wakacye przyjeżdżał do Zacisza, a wtenczas jakaż to była radość, jaka uciecha! Nieraz bawił się w Jodłówce u państwa Wincentostwa, a tak i on i Bogumiłka nie zapomnieli o sobie i zawsze kochali się jakby rodzeństwo. Czas upływał jak woda, rok za rokiem; więc i Jan Orlik już skończył nauki w uniwersytecie i miał lat dwadziścia i dwa. Pan hrabia kontent z jego postępowania, chciał uczynić go sekretarzem swoim, a gdy się obezna z interesami miał zostać pełnomocnikiem i zarządcą całego majątku: bo dawny plenipotent już był w podeszłym wieku i otrzymał wysłużoną pensyę aż do śmierci.

Przed wyjazdem z hrabią do jego majątku, daleko w innych stronach leżącego, uprosił na dni kilka, żeby mógł pożegnać się z tymi, którzy dla niego zastąpili miejsce rodziców.

I Antoni Bonar był już także niemłodym i czuł, że wkrótce będzie musiał prosić, żeby jego miejsce objął ktoś żwawszy i młodszy. Chciał on swoje nadleś-

nictwo zdać na Orlika, ale hrabia ofiarował młodzieńcowi korzystniejsze miejsce i trudno było sprzeciwiać się jego woli.

Po jutrze już miał odjechać Jan i to na czas długi; wszyscy byli smutni, a panna Bogumiła, która ukończywszy nauki u zakonnic, w Starym Sączu, nie dawno powróciła do rodziców, może najsmutniejsza ze wszystkich. W tem niespodzianie odezwała się trąbka pocztowa i przed dwór Zacisza zajechał pocztylion z najbliższej stacyi.

Zdziwili się wszyscy, bo hrabia nigdy nie pisywał przed pocztę, ale przez dworskich posłańców. Nadleśniczy wyszedł przed sień, a pocztylion oddał mu gruby pakiet, zapieczętowany trzema urzędowemi pieczęciami. Bonar rozpieczętował pismo i zaczął je czytać. Wszyscy czekali z natężoną ciekawością, jaki to interes. Podziwienie, a potem jakieś pomieszanie i kłopot malowały się na twarzy starca; oddał pismo Orlikowi i rzekł: „Czytaj i powiedz co mamy zrobić.“

Było to pismo do wielkorządcy Galicyi, a do niego dołączone inne papiery tej treści, że niejaki Józef Bonar rodem z Galicyi, umarł w roku przeszłym 1854, w Stanach Zjednoczonych w mieście Filadelfii, że w jego papiarach znaleziono następujące pismo w języku angielskim:

„Chociaż od lat dwudziestu nie odebrałem żadnej wiadomości od moich braci, nie sądzę przecież, żeby oni zapomnieli o mnie, ale że moje listy do nich nie doszły; więc nie mogli wiedzieć, gdzie się obracam i jak mi się powodzi. Wszystek majątek mój do nich prawem spadku należy, albo do ich dzieci, jeżeli oni już nie żyją. Gdym opuszczał ojczyznę, mieszkali w Galicyi, w cyrkule sandeckim we wsi Jodłówce.“

Pismo to, szczęśliwym trafem dostało się do władzy miejskiej w Filadelfii, która zabezpieczyła od grabieży pozostałość po nieboszczyku. Pokazało się z pozostałych papierów, że Józef Bonar trudnił się kupiectwem i miał znaczne należności do odebrania w mieście Mexyku i w Rio-Janeiro. Sporządzono dokładny spis wszystkiego i przesłano go do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Prezydent oddał go konsulowi austryackiemu, a ten napisał do Wiednia przesłano, te papiery do Krakowa, zkąd doszły do obydwu braci Bonarów.

Podług obliczenia, które uczyniono w Filadelfii, pozostałość wynosiła więcej jak 300,000 złotych polskich, ale jej dwie trzecie części były u kupców w Mexyku i Rio-Janeiro.

— Oto nam spadł cieżki kłopot na stare nasze głowy, — rzek pan Antoni

Bonar. Może to gruszki na wierzbie; nie długo pożyję, dzieci nie mam i nie pojadę na koniec świata. Weź sobie ten cały spadek panie bracie i radź o nim jak możesz.

— A jakże sobie poradzę! — zawołał pan Wincenty. — I ja nie myślę jechać za morze, bo i języka zamorskiego nie umiem i nie wiedziałbym gdzie czego szukać. A przytem żeby te pieniądze były w jednem miejscu, ale aż w trzech i to tak daleko jedno od drugich. A może ci kupcy zmarnieli, albo już nie żyją, to stracilibyśmy i czas i pieniądze na drogę.

— Pieniądze, — odezwał się stary Bonar — to najgorsza sprawa. Pożycz kilka tysięcy na podróż od lichwiarza z Sącza, a jak z Ameryki nic nie przywieziesz, to cię jeszcza z ojczystego gniazda wyrzucą. Siedźmy w domu. Oto trzeba napisać prośbę do rządu we Lwowie, ażeby odebrał dla nas co będzie można i nam tu przysłał.

To chyba poto, żebyś Niemcom nasmarował ręce, — odrzekł nadleśniczy — bo każą z góry złożyć pieniądze na koszta, a jak zaczną potem rachować, to z całej sukcesyi nic nie zostanie, albo jakie kilkaset reńskich. Już ja wiem jacy to są rachmistrze!

—Ale nie można zaniedbać takiej suk-

cesyi, — rzekł Wincenty, — który miał pięcioro dzieci.

Jan Orlik słuchał tej narady, nie mieszając się do niej, nareszcie odezwał się:

— Jeżeli pozwolicie, ja, mój kochany ojcze i opiekunie, popłynę do Ameryki, a opatrzony waszem pełnomocnictwem, odbiorę ten spadek. Jestem zdrów i czerstwy, umiem dobrze po niemiecku, a jako tako po francuzku, to sobie poradzę.

— Ty! — zawołali wszyscy! — Ach! gdyby cię spotkała jaka nieszczęśliwa przygoda, gdybyś utonął, albo gdyby cię źli ludzie zabili, mielibyśmy to na sumieniu naszem.

— Tysiące ludzi jedzie i wraca z Ameryki, teraz podróż jest krótsza i bezpieczniejsza.

— A jak będzie z twoim obowiązkiem u JW. hrabiego?

— Pojadę do niego, przedstawię mu rzecz całą i zdam się ze wszystkiem na jego radę i wolą.

I tak się stało. Nazajutrz po tkliwem pożegnaniu odjechał Jan najprzód do Nowego Sącza, razem z dwoma braćmi, którzy urzędownie uczynili go swoim pełnomocnikiem i dołączyli metrykę urodzenia rodziców i brata, oraz metrykę ślubu rodzicielskiego, poświadczone jak należy. Ztamtąd pojechał do Lwowa po paszport dla siebie. Przy odjeździe dwaj bracia

ofiarowali mu dziesiątą część tego co odbierze, jako wynagrodzenie za jego trudy. Pan hrabia nie tylko mu nie odradzał, ale jeszcze zachęcił go do tej podróży, a do pieniędzy, na jakie złożyli się dwaj bracia, dodał własnych tysiąc złotych i listy polecające do Wiednia.

Jan Orlicki, bo przybrał szlacheckie zakończenie do swojego nazwiska, uzyskał w Wiedniu poświadczenie wszystkich papierów, które miał z sobą i otrzymał list rekomendacyjny ho konsula austryackiego w Filadelfii.

Szczęśliwie odbył tę daleką podróż i w dwa miesiące od wyjazdu z Zacisza, już był w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, w mieście Filadelfii. Tam, bez wielkiego zachodu odebrał gotowe pieniądze, złożone w kasie rządowej, oraz papiery i rewersa na resztę spadku. Ale największa część majątku zmarłego Józefa Bonara, była w ręku meksykańskich kupców i w Rio-Janeiro. Tam trudniej mu poszło. Przy łasce Boskiej trafił do końca. Musiał wprawdzie stracić część kapitałów, żeby resztę odebrać gotówką, ale cała ta sukcesya razem zebrana, wynosiła jeszcze 250,000 złotych polskich, co dla ubogiej szlachty jest już piękną fortuną.

Nie będę wam opisywał przygód podróży Jana Orlickiego, bo na to nie starczyłoby w książeczce miejsca; może pó-

źniej w osobnem dziełku, zamieszczę ją dla waszej ciekawości i nauki.

Wszystkie te interesa zabrały Orlickiemu wraz z podróżą, więciej jak piętnaście miesięcy czasu. Pisywał regularnie co miesiąc do swoich opiekunów. Oni ledwie w trzy miesiące odbierali jego listy, a dowiadując się, że zdrów i radzi sobie niezgorzej, cieszyli się i dziękowali Bogu.

Ostatni list był w następnych wyrazach: „Kochani rodzice! (bo tak ich od dzieciństwa nazywał.) Skończyłem interesa, pieniądze odebrałem i bezwłocznie wyjeżdżam. Korzystając ze sposobności, której może więcej mieć nie będę, pojadę statkiem parowym do Londynu, zobaczę to miasto choć naprędce, a potem przez Paryż, Berlin, Poznań i Wrocław powrócę do was. Wiem że listy długo są w drodze, może więc ten odbierzecie na kilka dni przed moim przyjazdem, a może ja prędzej będę na miejscu, niżeli to moje pismo.“

Jan Orlicki przyjechawszy do Poznania, zboczył na parę dni do Gniezna, żeby zwiedzić to gniazdo naszego narodu i podziękować Bogu przy grobie apostoła Polski, za dokonanie szczęśliwie tak dalekiej podróży. Wysłuchał mszy śpiewanej i ukląkłszy przed grobem św. Wojciecha, modlił się pobożnie.

Tuż przy nim klęczała niewiasta już nie młoda, w żałobnej sukni. Po mszy powstali razem i twarz w twarz spojrzeli na siebie. Rysy niewiasty niegdyś piękne, lecz teraz smutkiem nacechowane, nie zwróciły uwagi Jana; lecz ona doznała jakiegoś nadzwyczajnego wzruszenia. Gdy wyszli z kościoła, rzekła do niego.

— Przebacz pan, że go zatrzymuję zapytaniem mojem. Pan zapewne jesteś podróżnym?

— Tak jest pani, — odpowiedział Jan.

— Ale z mowy poznaję, że jesteś naszym współrodakiem. Z których że stron jesteś rodem?

—Z Galicyi, z nad granicy węgierskiej. Ale dla czegoż pani zapytujesz się o to?

— Bo pan tak mocno jesteś podobnym do osoby, którą znałam przed laty, która była mi drogą.

To rzekłszy zamilkła, a po chwili domówiła ze łzami i zmienionym głosem, — do mojego męża, którego przed dwudziestu laty straciłam.

Młodzieniec przez grzeczność i uszanowanie starszym osobom należne, szedł przy niej; lecz zmięszany jej słowami, nie wiedział jak dalej prowadzić rozmowę.

— Czy pana rodzice żyją? — zapytała się owa pani.

— Żyją, ale to są moi przybrani rodzice, moi opiekunowie i dobroczyńcy. Ja

nie znałem nigdy i nie pamiętam mojego ojca i matki.

— A nazwisko pana? — rzekła coraz bardziej niespokojna i drżąca.

— Jan Orlicki.

— Orlicki! — powtórzyła ze smutkiem, jak gdyby zawiedziona w nadziei.

— Ale nazwisko jest także darem moich opiekunów; nazwali mię tak, z przyczyny nadzwyczajnego, może bezprzykładnego zdarzenia, które imię do ich domu wprowadziło.

— Daruj panie, ale tak rozbudziłeś ciekawość — rzekła nieznajoma pani — że nie zechcesz rozstać się ze mną, bez opowiedzenia mi tej przygody. Oto właśnie jest moje ubogie pomieszkanie, wejdź na chwilę i nie pogardź gościnnością współrodaczki, która by twoją matką być mogła.

Jan przyjął chętnie to zaproszenie. Nieznajoma pani poczęstowała go szklanką mleka, bo to był dzień letni i skwarny, on zaś opowiedział jej, jak nadleśniczy Jan Bonar znalazł go w gniaździe orlem i uratował od śmierci.

— O Boże! — zawołała ta niewiasta padając na kolana i wznosząc ręce do nieba, a potem rzuciła się na szyję Jana wołając:

— Tyś moim synem! tyś moim Jasiem. Miałeś na sobie w chwili kiedy cię ten

ptak drapieżny porwał, krzyżyk hebanowy z literami J. D.

— Miałem i mam go dotąd, — odpowiedział zdziwiony i wzruszony Jan, jeszcze nie śmiejąc wierzyć tak niespodziewanemu spotkaniu.

— Oto jest drugi taki! — zawołała, wyjmując z szufladki krzyżyk czarny z literami złotemi K. D. osadzonemi w hebanie. To był krzyżyk twojego ojca Kazimierza Dobka, który cię odumarł, gdyś zaledwie miał dwa lata. Trzeci taki z moją mouografią A.D. noszę na sobie.

Już nie było żadnej wątpliwości. Jan padłszy do nóg matki, ucałował jej ręce i dziękował Bogu, że odzyskał matkę.

Gdy już przeminęło pierwsze wzruszenie, pani Anna Dobkowa opowiedziała synowi smutne przygody swoje.

Była rodem z gubernii Podolskiej; wskutek wojennych nieszczęśliwych wypadków, mąż musiał z nią się rozstać. Po niejakim czasie pojechała z dwuletnim synkiem swoim na Bukowinę, do stryjecznego brata. Tam odebrała wiadomość, że jej mąż znajduje się w Wielkiem Księztwie Poznańskiem i pospieszyła do niego. Dano jej bryczkę, parę koni i zaufanego powoźnika, który ją miał dowiść do Krakowa. Z Kołomyi jechali koło granicy węgierskiej, na Sanok, bo w blizkości tego miasta mieszkał jej drugi brat stryjeczny,

od którego spodziewała się otrzymać zasiłek na daleką podróż. stamtąd zwróciła się ku Nowemu Sączowi; o milę od tego miasta, w pobliżu gór Karpackich, zatrzymała się na popas w chatce górala. Usiadła z dziecięciem na ławce w ogródku, bo w izbie było zanadto duszno. Dziecię zawołało pić, matka pobiegła po mleko, a wracając usłyszawszy krzyk i pisk dziecięcia i ujrzała, że ogromnej wielkości ptak schwycił go w swoje szpony i uniósł w powietrze. Gdy przyszła do zmysłów, powiedział góral, że jej dziecię zginęło bez ratunku. — Orzeł albo zaniósł je dzieciom na pastwę, moja pani, mówił do niej, albo rozbił o skałę, a potem rozszarpał i pożarł. Nigdy jeszcze nie wydarto orłu jego zdobyczy, chyba jeżeli go na gorącym uczynku kulą ubito.

Nieszczęśliwa matka przypomniała sobie, że jest żoną i ma obowiązek spieszyć na pomoc mężowi. Modliła się do Boga, żeby jej dał wytrwałość i siłę i pojechała w dalszą drogę. Z Krakowa dyliżansen dostała się w Poznańskie i znalazła męża swego w Gnieźnie, ale już dogorywającego. Umarł w dwa tygodnie po jej przybyciu. Po tej drugiej stracie, ciężko zachorowała, ale później wyzdrowiała, a zacni obywatele polscy, przyszli jej w pomoc. Wiedząc że to wdowa po mężnym oficerze, zebrali na nią składkę: wszyscy

ziomkowie przyłożyli się do niej w miarę możności swojej.

Daremnie radzono pani Dobkowej, żeby powróciła na Podole. „Nic mnie tam nie wiąże,” odpowiadała: „ani ja, ani mąż mój nie mieliśmy już rodziców, ani sióstr i braci rodzonych. Nie chcę być ciężarem nikomu; wolę dokonać życia przy grobie męża.

Wtedy jej opiekunowie zakupili dla niej domek na przedmieściu Gnieźna i trzy włóki dobrego gruntu. Zaopatrzyli gospodarstwo zawiadowcą.

Jedna przy tem okoliczność przywiązała ją do Gniezna i do grobu śgo Wojciecha, w takiej postaci, jak jest na obrazie w kościele malowany, z pastorałem w ręku i z mitrą biskupią na głowie, który do niej rzekł: „Uspokój się niewiasto! i ufaj Bogu, Bóg zatmucił, Bóg cię pocieszy.“ Od tej chwili zaczęła przychodzić do zdrowia i powzięła do przekonania, że przy grobie śgo Wojciecha, zdarzy się, prędzej czy później coś takiego, co jej przyniesie pociechę i szczęścia, a żyjąc skromnie, i bogobojnie, czekała lat dwadziścia i nareszcie doczekała się tego, że się odnalazł jej syn, od lat dawnych za umarłego miany.

Jan Dobek, dawniej Orlicki, bo go nazywamy rzeczywistym jego nazwiskiem, nakłonił matkę, żeby z nim pojechała do

Zacisza i Jodłówki. Przybywszy na miejsce, oddał braciom Bonarom pieniądze odebrane w Ameryce i prosił o gościnność dla matki.

Stary Antoni Bonar rzekł do niej: „Panią Dobrodziejkę witamy jak siostrę naszą", a po pierwszem powitaniu i opowiedzeniu tak osobliwych przygód, rzekł:
— Połowę spadku należącą do mnie rozdzielam na dwie części: jednę daję, tobie mój przybrany synu, ona należy ci się sprawiedliwie. Tyś ją wydobył z cudzych rąk i przywiozłeś z dalekich stron świata, drugą połowę przeznaczam mojej synowicy Bogumile, ale pod tym warunkiem, żebyście się oboje pobrali.

— I cóż, czy przystajesz na ten warunek? — przydał z uśmiechem pokręcając siwego wąsa i wpatrując się w Jana.

— Ojcze! dobroczyńco mój! — zawołał Jan — wola twoja święta jest dla mnie i najszczęśliwym będę, jeżeli panna Bogumiła mną nie pogardzi.

— Moja żona będzie twoją swatką, — odpowiedział starzec, — a jej udają się każde swaty.

Jakoż parę godzin potem zebrała się cała rodzina w dworku Zacisza. Jan i Bogumiła uklękli przed obojgiem państwem Bonarami i przed panią Dobkową i otrzymali od nich rodzicielskie błogosławieństwo.

Jan Dobek podziękował hrabiemu za jego dobroczynną opiekę i zakupił piękną wieś o parę mil od Krakowa. Wziął do siebie matkę i starał się, żeby jej ostatnie lata upłynęły spokojnie i szczęśliwie. Antoni Bonar przestał pełnić obowiązki nadleśniczego, bo już mu nóg i sił brakowało do obchodzenia i objazdu górzystych lasów, a z groszem przez długie lata poczciwie oszczędzonym i mając do śmierci wysłużoną pensyę od hrabiego, zamieszkał wraz z żoną przy bracie swoim w Jodłówce. Cała ta rodzina żyje dotąd spokojna, szczęśliwa i jest dowodem, że łaska i Opatrzność Boska zawsze czuwa nad dolą człowieka i wynagradza pilne, posłuszne i wdzięczne dzieci.

KONIEC.